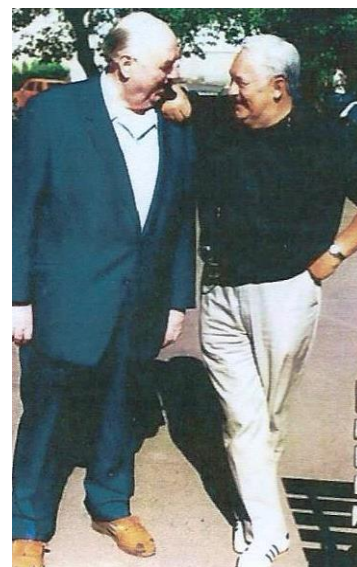


STEFAN PIETRZAK – ppor. „PACIOREK” (1922-1995)

Szef plutonu łączności w Szkole Podchorążych Narodowych Sił Zbrojnych, żołnierz powstania warszawskiego w kompanii „Warszawianka” (CHROBRY II), oficer AS (Akcja Specjalna) w Okregu NSZ Częstochowa, więzień Urzędu Bezpieczeństwa PRL, nauczyciel warszawskiego gimnazjum, mój przyjaciel i towarzysz broni.



Spotkanie po 44 latach. Ppor. „Paciorek” (ten wyższy) i autor opowiadania. Warszawa 1.08.1989. 45 rocznica powstania warszawskiego.

„Gdzie są chłopcy z tamtych lat – czas zatarł ślad ...”

Słowa z piosenki Sławy Przybylskiej pt. „Gdzie są kwiaty”

Stefana Pietrzaka, pseudonim „PACIOREK” poznałem 68 lat temu w roku 1943. Kończyliśmy razem warszawską Szkołę Podchorążych Narodowych Sił Zbrojnych. Później obaj zostaliśmy w Pierwszym Batalionie tej szkoły. On w Specjalnym Plutonie Łączności, ja w 1-ej Kompanii.

Powstanie warszawskie zaskoczyło nas prawie w przeddzień wymarszu do naszych oddziałów partyzanckich - na odprawie Batalionu, przy ulicy Wspólnej 32. Natychmiast dołączyliśmy do oddziałów Armii Krajowej, które pod dowództwem płk. Pfeiffera walczyły w rejonie Warszawa-Południe. Po kilku dniach przetrzeni zostaliśmy na północną stronę alei Jerozolimskiej, gdzie dołączyliśmy jako 4-ty pluton do kompanii WARSZAWIANKA wchodzącej w skład

Zgrupowania CHROBRY II. Kompania ta kwaterowała w Domu Kolejowym na rogu Żelaznej i Chmielnej od pierwszego do ostatniego dnia powstania. Terenem jej walk, między innymi, były ulice Towarowa, Wronia i Pańska.

O naszych powstańczych i późniejszych przygodach pisałem w swoich Wspomnieniach (www.szymanski.biulpol.net) . Ci z was, którzy je czytali, zapewne pamiętają podchorążego PACIORKA, w okrągłej czapce Urzędu Miasta Warszawy (o ile dobrze pamiętam, była to czapka Zarządu Oczyszczania Miasta), który na pytanie dlaczego nie nosi hełmu, dumnie odpowiadał : „niech szkopy wiedzą że ich magistrat też leje „.

PACIOREK zmarł w 1955 roku. Dzisiaj, kiedy piszę te słowa, od powstania dzieli nas 67 lat – wydawało by się, że to życie całe i czas potrafi wymazać z pamięci zdarzenia tych wyjątkowych dni. NIEPRAWDA ! Pamiętam je jakby to było wczoraj.

Powstanie skapitulowało po 63 dniach walki.

Z Domu Kolejowego wyszliśmy z PACIORKIEM 3-go października 1944 roku wczesnym rankiem. Prawdę mówiąc to wymknęliśmy się prawie ukradkiem. Chodziło o zachowanie tajemnicy, choć wszyscy nasi bliscy wiedzieli, że do niewoli niemieckiej, razem z nimi, nie idziemy.

Wyjście z oblężonej Warszawy

Wychodziliśmy jako cywile nie z własnej inicjatywy, ale na rozkaz naszych przełożonych. Rozkaz mjr. Kozłowskiego, powstańczego Komendanta NSZ był krótki : *Wobec zbliżającej się okupacji sowieckiej, będziecie potrzebni w Kraju. Zameldujecie się w Komendzie Okręgu NSZ Częstochowa i oddacie do dyspozycji Komendanta Okręgu.*

Jeszcze przed wyjściem z Domu Kolejowego postanowiliśmy, że iść będziemy osobno, w miarę możliwości nie tracąc ze sobą kontaktu wzrokowego. Nie wiedzieliśmy czego się spodziewać i do jakiego stopnia Niemcy będą kontrolować ewakuację ludności cywilnej. Wiadomo, że dwóch rzuca się w oczy bardziej niż jeden.

Powodzenie wyprawy w dużym stopniu zależało od tego jak dobrze potrafimy się „wtopić” w wielotysięczny tłum wysiedlanych warszawiaków. Przed wyjściem z Domu Kolejowego PACIOREK znalazł wąską deskę, która miała symulować kulę. Podpierając się tą deską, zaczął utykać na jedną nogę. Robił to z wielką wprawą, symulując swoje „ kalectwo” w sposób przekonujący i godny podziwu. Miało to wzbudzać sympatię współtowarzyszy niedoli i odwracać uwagę Niemców, którzy znów stawali się panami życia i śmierci. PACIOREK był to chłop wielki i zdrowy. Jego schylona i utykająca postać pasowała jak ulał do tłumy brudnych i oberwanych wygańców ze zburzonego miasta - stał się jeszcze jedną ofiarą nieszczęsnego powstania.

Aleje Jerozolimskie przeszliśmy przy placu Zawiszy. Ulica była raczej luźno obstawiona wojskiem niemieckim. Już od placu Narutowicz zaczęło robić się gęsto. Sznur ludzi

obladowanych ponad miarę , popychających i ciągnących wszelkiego rodzaju wózki, szedł , a raczej włókł się wzdłuż ulicy. Odbywało się to w wielkiej ciszy. Nawet dzieci nie płakały. Przy kościele pod wezwaniem św. Jakuba, na placu Narutowicza, stała niemiecka ekipa filmowa fotografując ten straszny marsz wśród ruin na tle dymiącego miasta. Świetna ilustracja do filmu pt."Wyjście z piekła".

Im dalej Grójecką tym więcej widzieliśmy porzuconych bagaży, waliz i tobołów – wśród tego poboju ludzi siedzących na ziemi, zmęczonych, często płaczących. Powoli zbliżaliśmy się do Pruszkowa. Właściwie to łatwo teraz można by „dać nogę”. Obstawa ulicy nie wyglądała na sprawne wojsko. Byli to starsi wiekiem żołnierze robiący wrażenie ciężko znudzonych. Ale dokąd uciekać ? Okolic nie znaliśmy i wydawało się, że strefa przyfrontowa, a taką przecież mimo kapitulacji powstania były przedmieścia Warszawy, może być zbyt niebezpieczna. Szliśmy więc dalej.

Obóz przejściowy w Pruszkowie (Dulag 121)

Obóz przejściowy w Pruszkowie, do którego dotarliśmy wczesnym wieczorem, mieścił się na terenie warsztatów kolejowych. Były to wielkie hale z kilkoma rzędami torów kolejowych. Pod każdym torem był wąski, otwarty tunel inspekcyjny o głębokości trochę większej niż wysokość człowieka. Podłoga była betonowa. Wszystko brudne i tłuste od smarów, olejów i innego świństwa. Panował tu niesamowity bałagan. W ludzi, jeszcze przed paru godzinami robiących wrażenie półżywych, wstąpiła nagła energia. Stawali się złośliwie agresywni i głośni.

Minimalne urządzenia sanitarne już nie działały. Był straszny smród. Nie wolno było wychodzić z tych hal i szukać szczęścia w innych. Żywność, ohydny zupę, dostarczano raczej sporadycznie. Nasza hala znajdowała się na obwodzie obozu. Natychmiast wybito parę dziur w ścianie, przez które można było porozumieć się z zewnątrz. Zaczął się handel. PACIOREK mimo, że „kaleka”, dopchał się do dziury w ścianie, gdzie za karton 100 papierosów kupił kawał kiebasy i bochenek chleba. Nie byliśmy więc głodni. Tak smacznej kiebasy nie jadłem już nigdy w życiu.

Służba sanitarna obozu składała się z polskich lekarzy i pielęgniarek. Ku mojej wielkiej radości, już tego samego dnia spotkałem córkę dr Łuniewskiego, zmarłego przed rokiem dyrektora szpitala dla psychicznie chorych w pobliskich Tworkach. Dr Łuniewski był przyjacielem mego ojca. Dzisiaj nie pamiętam imienia jego córki. Była albo lekarzem, albo pielęgniarką wyższej rangi. Po krótkiej rozmowie obiecała nam pomoc. Mieliśmy obaj dostać zastrzyki wywołujące wysoką gorączkę. W rezultacie tego zabiegu miano nas przenieść do innej hali, w której mieściła się izba chorych i pomieszczenie (bo nie można tego nazwać szpitalem) dla ludzi niedołączonych i małosprawnych. Po znalezieniu się w tym pseudo-szpitalu, którego obsługa, z wyjątkiem naczelnego lekarza Niemca, była całkowicie polska, nie powinno już być kłopotu z wydobyciem się na wolność.

Następnego dnia w naszej hali zaczęła się rejestracja obecnych, której nie można było uniknąć, ale którą należało odwlec. W czasie rejestracji prowadzonej przez Niemców, następowała klasyfikacja, która decydowała o losach zatrzymanych. Na temat tej klasyfikacji

krążyły rozmaite plotki. Oczywiście niemożliwe do sprawdzenia. W szeregu wymienianych możliwości najlepszą było natychmiastowe zwolnienie z obozu, najgorszą aresztowanie przez Gestapo. Mówiono o tajemniczej hali Nr.4, do której kierowano młodych mężczyzn. Co dalej z nimi się działo - nikt nie wiedział. Domysłem nie było końca. Pokrzepieni spotkaniem z córką dr Łuniewskiego i wyborną kielbasą byliśmy jak najlepszej myśli.

Ukryci w ciemnym, śmierdzącym kącie tunelu inspekcyjnego, czekaliśmy na obiecaną pomoc. Zjawiła się po paru godzinach. Zrobiła nam zastrzyki i obiecała wrócić za godzinę. Po kilku minutach zaczęło nam się kręcić w głowach. Po godzinie złani potem zaczęliśmy majaczyć. Nasza opiekunka, zgodnie z obietnicą, zjawiła się z paru pielęgniarkami, noszami i dokumentami otwierającymi nam drogę do Izby Chorych. W Izbie Chorych położono nas na siennikach wypełnionych słomą i kazano cierpliwie czekać. Wieczorem gorączka opadła i poczuliśmy się wręcz wyśmienicie. Nadal jednak udawaliśmy chorych. Przyniesiono nam w dużych miskach, pysznie pachnącą, gorącą zupę, której przyjęcia, z bólem serca, jako ciężko chorzy odmówiliśmy.

Przyszła noc. Mimo, że piekielnie głodni, spaliśmy raczej dobrze. Nad ranem obudził nas wrzask niemieckich żołnierzy, którzy wpadli do naszej Izby Chorych, otworzyli szeroko bramę wjazdową hali i zaczęli wyrzucać wszystkich na zewnątrz. Tych, którzy nie mogli się ruszać, wywlekano siłą za ręce, mimo protestów lekarzy i pielęgniarek. Przed halą stał już długi pociąg wagonów towarowych. Wrzucano nas i wpychano do tych wagonów, których jedynym wyposażeniem była cieńka warstwa słomy i spora dziura w podłodze, w kącie wagonu.

Wywiezienie pociągiem

Trudno mi dzisiaj powiedzieć, ile osób było w naszym wagonie. Ponieważ wszyscy leżeli, cała podłoga była zajęta. Nie było nas jednak tak wielu, żeby jeden leżał na drugim. Dość szybko zamknięto drzwi do wagonu i pociąg ruszył. Jechał bardzo wolno i co chwilę stawał. Scyzorykiem wydłubaliśmy sporą szparę między deskami ścian wagonu. Mogliśmy teraz odczytywać nazwy mijanych stacji. Jechaliśmy na południe. Do Żyrardowa dojechaliśmy około południa.. Zabrało nam to pół dnia !

Stanęliśmy. Rozsunięto drzwi, ale zabroniono wysiadać. Jacyś ludzie roznosili wodę w wiadrach. Nie było wystarczającej ilości naczyń do picia. Rozpoczęły się kłótnie i wymyślania. Ruszyliśmy wolno. Do Skierniewic dojechalismy wieczorem. Pociąg stanął na stacji ale przed peronami. Nie otwierano drzwi. Zaduch i smród był ciężki do wytrzymania. Większość „pasażerów” naszego wagonu to byli ludzie niedołężni - nie będący w stanie dowlec się nawet do dziury w podłodze zastępującą ubikację. Leżeli na słomie i po prostu robili pod siebie.

Pamiętam okropną scenę - obok mnie leżały dwie, bardzo stare kobiety. Brudne i śmierdzące z posklejanymi kosmykami od dawna niemytych, siwych włosów, groteskowo spadających na ich sine, pomarszczone twarze. Okropnie się kłóciły, wymyślając sobie i przeklinając w wulgarny sposób. Chciały się bić, ale nie miały na to siły. Podniesienie ręki stawało się nadludzkim wysiłkiem, ledwo podniesiona, opadała bezwładnie. Nagle, jedna ze

staruszek zdała sobie sprawę, że dwie ręce to więcej niż jedna. Z ogromnym wysiłkiem malującym się na jej złej twarzy, podtrzymując jedną rękę drugą, naprowadziła ją nad głowę sąsiadki i ... puściła ! Ręka z kłaśnięciem opadła na twarz. Podniósł się wrzask i poszkodowana trysnęła strumieniem najbardziej wyszukanych przekleństw.

Wszystko to działo się w ciemnościach, zaduchu i smrodzie, przy akompaniamencie rytmicznego stukotu kół pociągu ... o ile pociąg jechał - większą część pierwszego dnia i pierwszej nocy nasz pociąg stał i czekał. Byliśmy zapewne najbardziej zapomnianym i najmniej ważnym pociągiem w przyfrontowej strefie. Jechaliśmy na południowy zachód. Zaledwie 40 km. na wschód, na linii Wisły, stała Armia Czerwona i ciągle czekała. Dzisiaj, spisując te wspomnienia, zdaję sobie sprawę, że nasz pociąg i nasz wagon - obraz, dźwięk i zapach tamtych dni, to idealna ilustracja do opisu piekła, które tak zawsze interesowało poetów nie mających najmniejszego pojęcia jak to piekło wygląda i o co właściwie chodzi.

W tym piekielnym wagonie pełnym ludzi, którzy powoli przestawali nimi być i gdzie śmierć dla wielu wydawała się łaskawym wybawieniem - jeden człowiek nie tracił nadziei, że najbliższe dni przyniosą mu zmiany na lepsze. PACIOREK poprostu wiedział, że wyjdzie z tych opałów cało pod warunkiem, że zachowa zimną krew i będzie konsekwentnie realizował raz ustalony plan. A w planie tym na pierwszym miejscu była symulacja kalectwa. Robił to nie tylko konsekwentnie, ale i z wielkim aktorskim talemtem, którego nigdy u niego nie podejrzewałem. Czasami wydawało mi się, że on w to swoje kalectwo naprawdę uwierzył. Pierwszej nocy, śpiąc na podłodze wagonu, chrapał donośnie, a kiedy ktoś go potracił, wydawał głośne jęki bólu. On to robił śpiąc ! Ze swoją deską-kulą nie rozstawał się nawet w wędrownie do dziury w podłodze, co musiał jednak od czasu do czasu robić.

Ucieczka z transportu

Ruszyliśmy - teraz pociąg jechał trochę szybciej. Minęliśmy Radomsko i pociąg zbliżał się do Częstochowy - celu naszej wyprawy. Zaczęliśmy się niepokoić. Niedaleko za Częstochową zaczynał się Śląsk. Byliśmy chyba nie dalej jak 80 km. od Auschwitz. Wagony pełne niepełnosprawnych ludzi, niedaleki obóz zagłady i dobrze nam znane niemieckie teorie „czystości rasowej” pobudzały wyobraźnię i wymagały natychmiastowej akcji. Postanowiliśmy, że najwyższy czas na ucieczkę.

Mieliśmy jeden scyzoryk, którym już wcześniej wysłubaliśmy sporą szczelinę obserwacyjną między deskami ściany wagonu. Przy głośnym protestie towarzyszy podróży zaatakowaliśmy ścianę wagonu. Wyłamanie deski ze ściany, szczęśliwie tuż przy skoblu zamykającego suwane drzwi zajęło nam chyba dwie godziny. Pociąg jechał teraz wolno wśród rzadkich zabudowań. Zbliżaliśmy się do przedmieść Częstochowy. Rozsunęliśmy drzwi. Pociąg jechał po średniej wysokości nasypie. Na dole były krzaki, dalej pola i domy.

PACIOREK skoczył pierwszy. Bez walizki, ale ze swoją deską w ręku. Widziałem jak się turlał po zboczku skarpy. Nikt nie strzelał ! Skoczyłem w taki sam sposób w jaki skakałem od lat z warszawskiego tramwaju. Twarzą w kierunku jazdy, lekko pochylony do tyłu. Wyladowałem nawet dobrze, w pozycji stojącej, ale natychmiast się potknąłem i podobnie jak PACIOREK

zrolowałem w krzaki. Byłem cały i nawet specjalnie nie poturbowany. Kiedy podniosłem głowę mijał mnie ostatni wagon pociągu. Otwarta platforma z karabinem maszynowym ... bez obsługi. Po chwili zjawiał się PACIOREK, który widział jak skakałem

Przybycie do Częstochowy

Przez krzaki, później polną miedzą doszliśmy do drogi a raczej ulicy częstochowskiego przedmieścia. W Częstochowie nie można chyba zabłądzić. Z każdego miejsca widać wieżę stojącego na wzgórzu klasztoru. Po godzinie byliśmy przed bramą główną kościoła. Tłum ludzi, stragany z dewocjonaliami, brud i chałas. Nic się nie zmieniło od 7 lat, kiedy byłem tu ostatni raz. Już za parę dni klasztor i plac zapełni się obdartym tłumem nieszczęśliwych warszawiaków. W tej chwili życie toczyło się normalnym, częstochowskim rytmem. Wiadomość o tragicznej śmierci Warszawy nie dotarła jeszcze do świadomości i serc tych ludzi.

Nie muszę przypominać, że PACIOREK przez całą drogę do klasztoru utykał i podpierał się deską-kulą. Teraz zafundował sobie szklankę oranżady i z jedną nogą sztywno wyciągniętą przed siebie usiadł na klasztornych schodach. Widok krótkiej i szerokiej baby sprzedającej oranżadę z dwukołowego wózka przywołał z pamięci obraz z rodzinnego miasta. Ileż takich wózków leży dzisiaj pod gruzami Warszawy ? Takich samych, identycznych. Z butelkami pomarańczowego, malinowego i wisniowego soku, z dużą butlą wody sodowej i dziwnym przyrządem - natryskiwaczem do płukania jedynej, jednej szklanki dla wszystkich, w ciągle tej samej, raz dziennie zmienianej wodzie. Czystość ?, zdrowie ?, higiena ? Komu to mówić ! Zwłaszcza nam po dwóch miesiącach powstania. Zaczął się rodzić syndrom popowstaniowego warszawiaka, który wszystko już widział, wszystko wie, i któremu nic już stać się nie może. Nie bojącego się niczego cwaniaka traktującego wszystko i wszystkich z góry. Z lekceważeniem i pogardą człowieka, któremu nic nie jest obce. Cynizm stawał się wartością nadrzędną.

Zostawiłem PACIORKA na schodach a sam udałem się na poszukiwanie Ojca Kustosza skarbcza i klasztornego muzeum. Nie pamiętam jego imienia. Zapewne dzisiaj już nie żyje, był to już wtedy człowiek powyżej wieku średniego. Po wymianie hasła, które dostałem od mjr. Kozłowskiego w Warszawie, Ojciec Kustosz, wyraźnie uradowany, przywitał mnie serdecznie. Okazało się, że jestem pierwszym żołnierzem NSZ, który dotarł do niego po kapitulacji Warszawy, i że od paru dni czekał niecierpliwie na nawiązanie kontaktu. Gdy powiedziałem mu, że brat mojej babki, Bonawentura Gawęłczyk, również paulin, sprawował podobną do jego funkcję, w tym samym miejscu 80 lat temu - ucieszył się jeszcze bardziej.

Tymczasem, stwierdził, nim pana umyjemy i nakarmimy, musimy iść podziękować Bogu za szczęśliwe przeprowadzenie panów przez powstanie i doprowadzenie do Częstochowy. Nie wypadało mi dyskutować z Wielebnym Ojcem o roli jaką Opatrzność odegrała w moim życiu w ostatnich paru miesiącach. Byłem przecież przekonany, że moja cała głowa, którą szczęśliwie wyniosłem z powstania, uchowała się dzięki łańcuchowi szczęśliwych przypadków, które stały się moim udziałem. Przypadkiem bowiem było wyjątkowe położenie Domu Kolejowego, przypadkiem silne ramię sanitariuszki „Amorka”, która uratowała mi życie na ulicy Wroniej. Na

pewno było przypadkiem spotkanie Pani Łuniewskiej w obozie w Pruszkowie. Byłoby również nie na miejscu przyznanie się do braku bojowej odwagi i do świętej zasady nie wkładania palca między drzwi, która prowadziła mnie jak dotąd z powodzeniem przez moje wojenne życie. Nie mogłem też odbierać Ojcu Kustoszowi wiary w Łaskę Bożą danej tym, którzy służą słusznej sprawie, jak i radości z powitania „walecznego żołnierza z bohaterskiej stolicy”. Przyznam się też do mojej próżności. Ta nowa rola zaczynała mi się podobać

Kaplica, w której wystawiony jest obraz Czarnej Madonny, jest stosunkowo niewielka. Od reszty kościoła odgradza ją metalowa krata. Większość czasu obraz jest zasłonięty. Ceremonia odsłonięcia obrazu jest ważnym wydarzeniem, któremu towarzyszy spacyjny rytuał. Kiedy weszliśmy do kościoła obraz był odsłonięty. Pamiętam ten obraz z moich wizyt w Częstochowie w latach dziecięcych i z licznych reprodukcji. Obraz Matki Boskiej Częstochowskiej jest specjalnie czczony w Polsce i na pewno jest najczęściej spotykanym wizerunkiem matki Jezusa. W kaplicy panował półmrok. Unosił się zapach kadzidła i odór dawno niemytych, spoconych ciał. Gęsty tłum klęczący przed kratą kaplicy śpiewał. Zawodził raczej w sposób zupełnie nieznośny. W Polsce muzyka i śpiewy sakralne są wyjątkowo piękne, ale tylko w zawodowym wykonaniu. Zawodzenie rozhisteryzowanych wiernych, bez melodii i rytmu, w niezgodzie z akompaniamentem, jest jedną wielką skargą, prośbą i ... pomyłką. Pieśni, które w założeniu miały głosić triumf i chwałę, zamieniają się w żebracze jęki.

Do kaplicy proważył mnie starszy, wysoki mnich o władczym kroku i zachowaniu. Ubrany w biały zakonny habit, robił duże wrażenie. Tłum bez słowa rozstępował się przed nim jak Morze Czerwone przed Mojżeszem. Ja szedłem za nim w przybrudnym płaszczku, nie ostrzyżony z parodniowym zarostem na twarzy. Diszliśmy do stopni ołtarza. Ojciec Kustosz uklękł i pociągnął mnie za rękaw, żebym zrobił to samo. On zaczął szeptem się modlić. Ja schyliłem głowę i ... nie mogłem znaleźć słów modlitwy. Klęczałem ze schyloną głową - nie potrafiłem się modlić, nie czułem potrzeby modlitwy. Gdzie byłeś Boże przez tych ostatnich parę lat ? Kiedy też Twoi synowie z czerwoną gwiazdą na czapkach mordowali mojego ojca w katyńskim lesie ?, kiedy też Twoi synowie z aroganckim napisem „Gott mit uns” na kłamrach mundurowych pasów ścinali toporem głowę brata mojej matki ? Jedyne co czułem to przemożny wstręt do otaczającego mnie tłumu. Uczucie niewiele mające wspólnego z chrześcijańską niłością i pokorą. Pomieszany zapach kadzidła i potu. Smród niemytych ciał i to straszne wycie śmiertelnie wystraszonych i nieszczęśliwych ludzi, wiecznie gnębionych, wykorzystywanych i poniżanych. Ludzi bez szans na lepsze jutro. Co gorsze, pozbawionych woli walki o własną przyszłość. Których jedyną nadzieją była wiara w cud !!!

Nawiązanie kontaktu z Okręgiem NSZ

Po chwili Ojciec Kustosz podniósł głowę i rzekł : *chodźmy, czas coś zjeść*. Nie odważyłem się na chyba słuszną w tych okolicznościach uwagę, że nie tylko duchem człowiek żyje. Przeżegnałem się i wyszliśmy z kaplicy. Najpierw poszliśmy po PACIORKA. Ciągłe siedział na schodach przed kościołem otoczony sporą gromadką pielgrzymów, którym opowiadał o swoich powstańczych przygodach. Deska-kula zastąpiona została wspaniałą laską, którą ktoś mu podarował. Deska zniknęła, zabrana przez kogoś w charakterze zapewne relikwii. Ojciec Kustosz zaprowadził nas do części klasztoru zamieszkałej przez zakonników. Pierwszy raz

od dwóch miesięcy siedziałem w wannie z gorącą wodą. Ciężko mi było z niej wyjść. Dostaliśmy czystą bieliznę i wspaniały posiłek. W międzyczasie Ojciec Kustosz nawiązał kontakt z ludźmi z NSZ w mieście.

Po PACIORKA przyszła wielka i szeroka gospodyni proboszcza z kościoła, o ile dobrze pamiętam, św. Barbary. Parafia tego kościoła stała się kwaterą PACIORKA do końca wojny, a sam PACIOREK przydzielony został do miejscowego oddziału AS (Akcja Specjalna). W ten sposób rozstaliśmy się z PACIORKIEM pierwszy raz od przeszło dwóch miesięcy. Mnie Ojciec Kustosz zaprowadził na ulicę Kopernika (w pobliżu klasztoru), gdzie zamieszkałem u mjr. „Wąsowskiego”, Stanisława Kasznicy, Komendanta Okręgu Częstochowa NSZ. Kasznica, później jako ostatni Komendant Główny Narodowych Sił Zbrojnych, został zamordowany w mokotowskim więzieniu Urzędu Bezpieczeństwa w Warszawie w roku 1948.

Po kilkunastu dniach długich rozmów i spotkań z ciekawymi ludźmi, dostałem „nowe papiery” i skierowanie do naszej organizacji w Piotrkowie Trybunalskim.. Przed wyjazdem odwiedziłem PACIORKA. Był to koniec października. PACIOREK, najwyraźniej pod specjalną opieką gospodyni proboszcza wyglądał wspaniale. Utył i wyglądał przepyszenie. W grudniu przed samymi Świątami przyjechałem do Częstochowy raz jeszcze. Planowaliśmy z PACIORKIEM „skok” jego oddziału AS w Piotrkowie. W parę tygodni później ruszyła zimowa ofensywa sowiecka. W następnych paru dniach Piotrków i Częstochowa zajęte zostały przez Armię Czerwoną. Okupację niemiecką zamieniliśmy na okupację sowiecką.

Spotkanie z PACIORKIEM po 44 latach

Od tego czasu nie widzieliśmy się z PACIORKIEM 44 lata. Ponownie spotkaliśmy się w Warszawie 1-go sierpnia 1989 roku na uroczystości odsłonięcia pomnika upamiętniającego powstanie warszawskie w jego 45 rocznicę.



Warszawa 1 XVIII 1989

Oficerowie i podchorążowie NSZ zebrani przed pomnikiem powstania warszawskiego w jego 45 rocznicę
Od lewej : L.Ciszewski KNYPEL, J.Sekuła CZERSKI, M.Wdowiarski ANTONI TWARDOWSKI, Z.Kowalczyk-Dziakoński ŻBIKOWSKI, R.Kowalczyk-Dziakońska RENIA, S.Pietrzak PACIOREK, G.Potworowski ZYCH, Z. Kuciewicz SZWAGIER, W. Szulecki KANIA, M. Szymański KRUCZKOWSKI

To spotkanie po 44 latach było niezwykle serdeczne. On, emerytowany nauczyciel warszawskiego gimnazjum, ja, starzejący się kanadyjski architekt (uciekłem z Polski w marcu 1949 roku). Radosne to było spotkanie i opowiadaniom nie było końca. 44 lata to przecież całe życie. PACIOREK już w październiku 1945 roku został aresztowany przez Urząd Bezpieczeństwa Publicznego. Razem z grupą kolegów z naszej wojennej Szkoły Podchorążych

W styczniu 1946 roku wytoczono im proces sądowy. Zarzucono im działalność na szkodę państwa polskiego. Śmieszne i niepoważne zarzuty stawiane ludziom, którzy całe życie poświęcili Polsce. Żołnierze Polski Podziemnej, powstańcy warszawscy, napiętnowani obelżywą nazwą *zaplutych kartów reakcji*.

Niestety (a szkoda bo byłby to arcyciekawy dokument), PACIOREK nie zostawił po sobie spisanych wspomnień. Mnie zaś trudno dzisiaj, po 22 latach, przytoczyć szczegóły naszych rozmów. Opisać upokorzenia, które stały się jego udziałem. Obłądne teorie i absurdalne dogmaty socjalistycznego „raju”, o których bełkotał przesłuchujący go Józef Goldberg-Różański, Dyrektor Wydziału Śledczego Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, oficer NKWD i kat Nr.1 Razem z PACIORKIEM aresztowano 12 podchorążych NSZ. Po wyjściu z więzienia chłopcy ci, których jedyną winą było to, że byli Polakami świadomie walczącymi o niepodległość Ojczyzny (większość z nich to żołnierze powstańczej kompanii „Warszawianka”), naznaczeni zostali piętnem *wrogów Polski Ludowej* i zostali zepchnięci na margines życia społecznego/

Powolna agonía zbrodniczego komunizmu, zmiana ustroju i powrót do wolnego świata, przyszły dla nich za późno. Kiedy w końcu lat osiemdziesiątych zaczęli się znów spotykać, kiedy Kraj otrząsnął się z komunistycznego półwiecza „radosnej twórczości” - PACIOREK był jednym z pierwszych, który słowo NSZ przestał wymawiać szeptem

Niewielu z nich zostało przy życiu. Ci co jeszcze żyją, są dzisiaj ludźmi starymi i zmęczonymi. Nie wolno nam o nich zapomnieć ! Niech nowe pokolenie, które przejmuje teraz losy Kraju w swoje ręce, zachowa w pamięci tych 13 nazwisk **chłopców z dawnych lat**. Oficerów i podchorążych Narodowych Sił Zbrojnych :

Czesław Dziak BORUTA
Olgierd Guttakowski OLGIERD
Tadeusz Jezierski MANS
Jerzy Kasprzak
Tadeusz Linowski HERMES
Bohdan Masłowski TRZEPAŁKO
Stefan Pietrzak PACIOREK
Zdzisław Romański
Jerzy Regulski FALK, JACEK
Zdzisław Sadowski CZARSKI
Saturnin Sowiński SERWIŃSKI
Antoni Symonowicz ANTONI
Andrzej Zaorski ANDRZEJ

Powyższy tekst jest poprawionym wydaniem tekstu opublikowanego po raz pierwszy na stronie internetowej Narodowych Sił Zbrojnych w listopadzie 2011 roku.

Poniżej dodaję video z piosenką Sławy Przybylskiej pt. GDZIE SĄ KWIATY. Słowa tej piosenki dały tytuł mojemu opowiadaniu.

Maciej Szymański styczeń 2014

Sława Przybylska - Gdzie są kwiaty z tamtych lat?
<http://www.youtube.com/watch?v=56vyvdOQ4ic>